

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

STARA BAŚŃ, TOM DRUGI

Józef Kraszewski
Stara baśń, tom drugi

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23542122

Stara baśń, tom drugi:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Том II	4
I	4
II	24
III	38
Конец ознакомительного фрагмента.	53

Józef Ignacy Kraszewski

Stara baśń, tom drugi

Tom II

I

Nadszedł dzień Kupały – święto w całym pogańskim obchodzone świątecznym, dzień Białego Boga dnia i światłości, na którego cześć paliły się ognie nad Adrią, nad Bałtem, nad Dunajem, nad Łabą, Wisłą, Dniestrem, Rodanem i Sekwaną. Ze czcią tego Bel-boga, Bela, ludy wędrowały na zachód wszystkie, z kolebki swej rajskiej, w zimne kraje nowej ojczyzny.

Dzień Kupały najdłuższy w roku, noc Kupały najkrótsza, były jednym ciągiem wesela, śpiewu, skoków i obrzędów.

I na tej górze świętej nad jeziorem, kędy się z sąsiednich mirów na Kupałę najwięcej ludu zbierało, już o wschodzie słońca z kąpieli wychodzące tłumy, przybrane w wieńce, przepasywane bylicą, postrojone ziołami kwitnącymi, otaczały starych gęślarzy.

Wzgórze lekko opadało zieloną łąką ku wodom jeziora. Na szczycie jego rosły stare dęby, brzozy rzadkie, a dalej gęstszy coraz las ciągnął się dwoma ramionami, łącząc z niezgłębionymi

puszczami, które naówczas całą niemal tę ziemię okrywały.

Od rana widać tu już było młodzież znoszącą suche gałęzie, łuczywo, bierwiona świeżo ucięte, gdyż martwego drzewa jak na budowę chaty nikt nie używał, tak i na ogień święty nosić go nie było wolno. Gałęzie nawet suche z żywego drzewa musiały być obłamywane, bo w tych, które na ziemi leżały, mieszkała już śmierć.

Ze wszech stron widać było sunące sznurami niewiasty w bieli, całe w wiankach i opaskach zielonych, chłopaków w narzuconych na ramiona siermięgach. Zewsząd po gajach i lesie brzmiały przedśpiewy zwiastujące nocną uciechę.

Nagotowane ogniska widać było u skraju lasu, pod dębami i głębiej jeszcze. Kamiennymi siekierkami łupano drzazgi na podpał. Każda gromada obejmowała dawne miejsce i zgłiszcze swe świąteczne. Gwar wesoły i śmiechy przebrzmiewały po lesie.

Pod dębem siedział Słowan, pod innym drugi śpiewak, którego zwano Wiłujem. Gdy jeden z nich nucił, przestawał drugi; śpiewali na przemiany, ale pieśń jednego nie godziła się z drugą, zdawali się raczej przeciwieć sobie niż łączyć.

– Słoneczko, oko dnia jasnego, świeć nam a grzej – śpiewał stary gęślarz. – Strumienie światła na ziemię biega... Światło nam lej, Kupało!

Niech czarne smoki nie śmieją zaćmić twej twarzy, tyś życiem, szczęściem, nadzieją, tyś bóg jest nasz! Kupało...

Królu, dniom naszym panuj bez chmury, do życia obudzaj

chuć¹, tyś życia dawca, boże Kupało, siej, żyw i budź, Kupało...

Ucichło, a Wiłuj brząknął w struny i niezrozumiałą piosenkę nucił półszyderskim głosem.

– Pieśni ty moja, pieśni! Ptaszyno moja złota, tyś jak woda żywota, wskrzeszasz z śmiertelnej pleśni, lecz kto się w nurt twój miota, ten żywot prędko prześni. Dwojaka twoja cnota, żywot i śmierć jest w pieśni... Pieśń zmarłych wskrzesza z grobu, pieśń żywych na śmierć miota... w niej siła światów obu... i śmierci, i żywota...

Spuścił głowę wypętlą² i zamilkł, milczeli oba, bo chór śpiewał za nich pieśń kupalną.

Słońce zapadać miało, wszystkich oczy i twarze ku niemu były zwrócone. Czekano, gdy ostatni jego promień zniknie z drzew pozłoconych wierzchołków, aby ogień rozniecić i pieśni a korowody rozpocząć.

Starsze niewiasty siedziały na ziemi, a około nich cebry i garnki, i niecki z mięsiwem, i kołacze a korowaje³ świąteczne widać było; młódź się kręciła i goniła po błoni, klaskając w ręce. Dziewczeta trzymały się gromadą, kupkami na nie nacierali chłopcy, rzucano słowy; wyścigano się krzycząc i odpędzano chustami napastujących.

– Kupało! Kupało! Łado! – odzywały się tu i owdzie śpiewne głosy.

¹ *chuć* (daw.) – chęć, pragnienie. [przypis edytorski]

² *wypętlzy* – łysy. [przypis edytorski]

³ *korowaj* – pszenne, wykwintne pieczywo, ciasto weselne. [przypis edytorski]

Około stosu Wiszów stał już Ludek i Sambor, który na gród wracać nie chciał, niemało niewiast i czeladzi. Poglądano ku lasowi, w stronę dworu, bo jednej Dziwy i Żywi nie było, a Dziwa miała pierwsza ogień podpalić i pieśń zanucić o Kupale.

Chłopcy tymczasem suche tarli drzewo, aby zrobić ogień boży, który by sam się zrodził, młodym był i nowym, a potem przez rok cały na domowym palił się ognisku. Był to ogień, którego z domu nikomu wynosić obcemu nie dawano. Kto ogień wynosił z chaty, brał z niej życie.

Już dwa smolne łuczywa dymiły w ich rękach, a ogień się jeszcze nie ukazywał i Dziwy nie było. Sambor więcej patrzył na ścieżkę, którą przyjsć miała, niż na robiący się ogień święty, który powinien był zapłonąć, gdy słońce zagaśnie.

Wtem z dali pokazały się dwie dziewczęta w bieli, szły z wolna trzymając się za ręce. Zielone wianki miały na głowie, zielonymi przepasane były splotami, snopki ziół niosły w rękach, ale szły milczące, bez pieśni. Były to Dziwa i Żywia, obie jeszcze smutne po ojcu żałobą. Dziwie chodziły po głowie wyrazy starej Jaruhy, a choć półoszalałej babie nie dawała wiary, w sercu jej coś ciągle powtarzało: Nie idź na Kupalę!

Choć dzień był boży, weselny, szły smutne, zbliżyły się tak do swojej gromady, a Sambor z daleka patrzył na twarz dziewczyny i dziwił się, że tak była posepną.

Wtem Ludek zbliżył się do niej.

– Sostro – rzekł – chodźcie wy razem w parze, nie idźcie daleko w las... Ja Domanowi nie wierzę... W noc Kupalową

dziewią się czasem straszne rzeczy... wieleż to dziewcząt przepada w lesie!... Nad ranem, u świtania, gdy szął ludzi ogarnie, pamięć tracą.

Dziwa się rumieniła słuchając, gryzła w ustach ruty gałązkę i trzęsła głową.

– Nic się nie stanie – rzekła. – Ani się Doman, ani żaden waży przystąpić do mnie, będę między swoimi. Jest was dosyć chłopców, aby siostrę obronić!

Brat zamilkł, a Żywia rzucając chciwie oczyma po gromadach, śmiała się bliskiej uciesze, nogi się jej do skoków rwały, lica pały, oczy błyskały, nuciła niecierpliwa.

– Dajcież pokój ze strachami! – śmiała się. – Nikt się do nas nie waży... ale w taki dzień, nie czyńcież nam niewoli... Tyle naszej uciechy.... Kupało...

Dokoła śmiech i wołanie zagrzewały, dziewczęta przybiegały do nich i rwały za rękawy, aby szły z nimi. Powoli i na twarzy Dziwy jaśniej się zrobiło, uśmiech się zjawił blady.

I ona mruzczała po cichu: Kupało! Kupało!..

A z dala słyhać było śpiew.

– Słońce w morzu się kąpało, bo na wesele iść miało... Wiodą, wiodą pannę młodą, w złote szaty przyodzianą... Księżyc jedzie z gwiazd drużyną, witaj słoneczko kochane... Ty mi będziesz królowało... Słoneczko moje jedyne! Kupało!

Chłopcy stali na uboczu, szeptali cicho, z ukosa patrzyli na dziewczęta i wybierali oczyma. Szął czasem opanowywał nad ranem te gromady i dziksze z nich szły jak „stada” w las,

porywając gwałtownie dziewczęta. Zwano też te szaty „stadem”. Rodzina jednak każda pilnowała swoich i stała na czatach, aby do „stada” nie dopuścić i od porywania obronić.

Dziwa patrzyła na zachodzące słońce, którego promienie ozłacały jej twarz i lśniły się we włosach. Ostatni blask zagasał, już tylko łuna czerwona wskazywała, gdzie zapadło, dwa smolne łuczywa ogień obejmował boży, zażegnietą żagiew podano dziewczynie, która żywo i zręcznie pod stos ją podłożyła. W tej samej chwili przy wszystkich ogniskach błyskały już ogniki i wielkim głosem wołano radośnie: Kupało!...

Niewiasty stawały kołem, biorąc się za ręce osobno, osobno mężczyźni i pieśni brzmiały po lesie dokoła.

Po polach, na puszczy, w całej okolicy przed chwilą cichej i głuchej, wszystko przeszło w radosne drganie i okrzyki. Zdało się, że i drzewa, i wody, i obłoczki na niebie, i trawy na polu, pieśnią tą i radością odbrzmiewają.

Zbudzone śpiewem podniosło się wodne ptastwo na jeziorze, zaszeleściało w krzewach, a wokoło stosów dziewy zawiodły uroczystą pieśń kupalną, o bogu w złotym wieńcu, co polom niósł ziarna złote, co łąkom niósł rosy, co ludziom chleb dawał, co wypełniał kłosa, co ule zasładzał, który czynił dzień, miłość zsyłał i wesele. Był to dzień ślubowin niebieskich słońca z księżycem. Radowała mu się ziemia, otwierała skarby swoje, noc ta nie miała tajemnic, wszystko zaklęte wracało do swobody, duchy jasne zstępowały z niebios i połyły ludzi własnym weselem... Śmierć i czarne widma kryły się w przepaści, pod

ciemny płaszcz Jamy⁴.

Ledwie pieśń pierwsza przebrzmiała chórem, ze swymi zwrotkami, dała się słyszeć druga. Chóry dalekie odpowiadały sobie. Dziwa z podniesioną głową szła przodem wiodąc skoki i zawodząc pierwsza, dziewczęta biegly za nią posłuszne.

Zrazu śpiew ciągnął się powolnie, krokami szły ocieężałymi, potem pieśń żywiej brzmieć zaczęła, ruch coraz szybszym się stawał, rozgorączkowywał głos, miotaly ręce, podnosiły głowy i oczy... Stare niewiasty oparte na kijach, siedzące na ziemi, które pójść nie mogły z korowodem, poklaskiwały siedząc, poruszały głowami, całym ciałem drgały wspomnieniem młodości.

Las płonął światłami i huczał pieśnią, i tętnił skokami.

Z dała widać było ogniów łuny, a około nich wirem, kołem zwijające się cienie, z rozwianymi włosy, rozpuszczonymi szaty, rozsypującymi się wieńcami, podniesionymi rękami.

– Hej! Kupało! Kupało!

Gdzie indziej chłopcy brali kąpiel płomienną, skacząc przez ogniska i przyklaskiwano ich skokom, kiedy niekiedy krzyk się dał słyszeć, bo parobcy rzucali się na dziewczęta, a wśród tego szafu, zamętu, nocy, działo się często, co tylko na Kupałę przebaczonem być mogło.

Lecz więcej śmiechów było słyszeć niż krzyku, a wesela niż płaczu.

Niewiasty jeszcze wiodły tany, gdy chłopcy z zapalonymi

⁴ *Jama* – bóg śmierci i władca świata umarłych (piekła) w hinduizmie. [przypis edytorski]

żagwiami zaczęli przeskakiwać ogniska, a potem wyścigać się po łące i wybiegać na polanki z nimi.

Gdzie indziej lano miód w ogień na ofiarę Białemu Bogu, przygasał płomień na chwilę i buchał potem z nową mocą. Parobczaki nieraz spotkali się w skoku, wśród płomieni i dymu, uderzyli o siebie... nieraz się śmiejąc chwyтали za bary, padali na ziemię i tarzali mocując.

U wszystkich ognisk razem rozpoczęły się te skoki, a wnet potem z ogniem pogony⁵. Z pozapalanymi żagwiami, których ogień w biegu nie powinien był zagasnąć, obiegano posiane zboża, barcie, łąki, wołając Kupały.

Na niebiosach, jakby spod zasłon przypatrując się ciekawie temu, co się działo na ziemi, szła zorza wieczorna całować się ze wschodzącą jutrzeńką... noc zaledwie przysłoniła lasy, a już dzień świtał za nimi.

Teraz rozpoczynało się picie i ucztowanie około ognisk, wśród wesela i śpiewu.

W kółku swoim znużona już śpiewaniem i skokami siedziała Dziwa i w ogień patrzyła.

Sambor nad nią czuwał z dala, lecz ani razu, ni razu nawet okiem nań nie rzuciła. Chłopak, choć go kusili parobczacy do wyścigów i do picia, niewiele miał ochoty, kręcił się błędny, odchodził i powracał, wciąż na oku mając córkę gospodarza, a na pamięci Domana... Dziwa go zobaczyła tak stojącego na straży i skinęła na niego.

⁵ *pogon* – gonitwa, bieg. [przypis edytorski]

– Idźże do ludzi! – rzekła. – Idź się wesel z drugimi!

– A wy... Dziwo! – odparł Sambor. – Czemuż wy chodzicie chmurno i smutno?...

– Ja... – poczęła cicho dziewczyna – ja! Bo moja dola inna niż wasza! Choćbym chciała, weselić się nie mogę... Czego oczy nie widzą, to serce czuje, a gdy serce smutne, trudno być twarzy wesołą...

Podniosła oczy do góry.

– Za lasami, za górami – mówiła jakby do siebie – łuny płoną... inne łuny... Śpiewy słyszę, nieweselne... szumią bory... tłumy ciągną, żagiew w jednej, miecz w drugiej dłoni... Woda się w krew przemieniła, białe lilie poczerniały... Hej! hej!..

I zwiesiła głowę smutnie, zapominając o Samborze, który ze strachem jakimś, stojąc za nią, słuchał i nie rozumiał. To, co mówiła, tak się nie godziło z tym, co dokoła tętniło... Chłopak długo jeszcze z dala się w nią wpatrywał, ale już nie śmiał przybliżyć. Żywia wyrывała się z korowodu przy ogniu i przybiegła do niej, usiłując ją pociągnąć z sobą; chwyciła siedzącą za rękę, próbowała chwycić z sobą i wracała śpiewając sama.

Sparta na dłoni dziewczyna obrywała bylicę z wianka, bawiła się kwiatkami i jak nieprzytomna myślą gdzie indziej się być zdawała... Może przy ojcu i matce...

Jakiś czas Sambor spod dębu, o który się sparł, patrzył na nią, trwał na czatach, lecz Dziwa raz jeszcze go przywołała do siebie i kazała mu iść do zabawy.

Posłuszny poszedł, sam nie wiedząc dokąd, bo mu się wcale skakać i ścigać nie chciało.

Ciągnął z wolna, bez myśli, ku lasowi. Chciało mu się uciec gdzieś, skryć się, spocząć, a bór był pełen ogni i wrzawy. Nie było w nim prawie ciemnego kąta.

Siedzieli na ziemi starzy pijąc i jedząc, pod drzewami szeptały pary młode; dziewczęta szły sznurami wiodąc się za ręce, zastępowali im chłopcy... uciekały z krzykiem, a biada tej, co się pochwycić dała... Wnet cały zastęp rzucił się na jej obronę, parobczaki powołani biegli na pomoc, walka zawiązywała się nierówna, aż dziewczki się płonącymi polany w końcu obraniać musiały.

Sambor pominął kilka ognisk i kilka obozowisk na ziemi, uganiającym się chwycić nie dał. Zatrzymywali go znajomi i nieznajomi, aby z nimi pił, aby szedł z nimi – odmawiał. Posądzano go, że coś złego miał na myśli...

Zaszedł tak aż w głąb boru, gdzie już tylko z dala przez gałęzie przeciskała się łuna od ognisk i ciemno było dokoła. Tu pod dębem legł. Głosy kupalne słyszeć było, ale nie widać nic oprócz blasków, które czasem złociły gałęzie u góry. Listki na nich naówczas wydawały się jakby z blaszki złotej, a ptaszki przebudzone latały połączanymi skrzydłami. Sambor legł i głowę a oczy w ręce utulił. Słuchał śpiewów i nie słyszał, marzyły mu się, bo z wolna sen za powieki go chwycił.

Wtem z dala coś zatętniło... załopotowało... zadrgało. Czy zwierz spłoszony tą wrzawą?... Ale zwierz szybko pomyka; a

tętent sunął się powoli, ostrożnie, milknął i wznawiał... zbliżał się i stawał... Sambor rozróżnił już stąpanie kilku koni i ludzi, ciche szepty. Skrył się więc głęboko w gąszcz, w trawy i krzaki, i czekał.

Ostrożnie wysunęła się z boru ludzi kupka. Blask, który wpadał z dala, nie dozwalał rozeznąć twarzy. Mężczyzna jechał na koniu silnym, dwu za nim, kilkoro czeladzi podążało pieszo. Schylali głowy i podnosząc gałęzie przypatrywali się ogniskom.

– Podkraść się trzeba pod koło... – szeptał jeden – Co za dziw na Kupałę porwać sobie dziewczynę? Komu jej nie dają po woli, musi wziąć gwałtem... Bylem ją na koniu miał, to moja, nie wyrwie mi się, nie dogonią, nie odbiorą... Zechcą bronić... choćbym życiem przypłacił! Na prawo...

I szepcząc posunęli się wszyscy ku brzegowi lasu, mijając przyczajonego Sambora. Zsiedli z koni, wiodąc je po cichu za sobą i kołowali wybierając, kędy przejść mogą niepostrzeżeni. Jeden odgarniał gałęzie i oko puszczał przodem, a sam wśliznął się potem, stawał, szedł bacznie. Sambor też za nimi wypętnął z krzaków, wyminął ich i niespokojny, rzuciwszy się drugą stroną, gąszczami puścił szybko ku ogniskom. Pośpiech ten go zdradził, usłyszał wnet pogoń za sobą, silne ręce chwyciły go z tyłu. Wyrwał się i stanąwszy do boju, uderzył głową w piersi napastnika tak silnie, że padł na ziemię. Lecz padając porwał i Sambora z sobą, chwyciwszy za koszulę. Wzięli się na ziemi za bary, dusząc i mocując, tarzając razem w gęstwinie, gdy dwóch jeszcze przypadło i siadłszy na parobka, zdusili go tak, iż tchnąc

nie mógł.

Wnet zawiązano mu gębę, spętano ręce i nogi.

Domyślono się zdrady, złąkniono popłochu i skrępowanego Sambora popchnęli w krzaki, a sami pobiegli nazad do koni.

Słyszał, jak śpiesznie oddalali się, szepcząc pomiędzy sobą.

Związany próżno się rzucał po ziemi, usiłując więzy potargać. Łyka i powrozy były mocne. Leżał więc tak, rozpaczając a nasłuchując, ale pieśni, krzyki, wrzawa, trzaskające ognie nie dawały rozróżnić żadnego głosu.

Jak wiek długo trwała ta męczarnia. Blask ognia zaczął niknąć, a brzask dnia wciskać się z góry. Coraz jaśniej robiło się w lesie. W krzakach budziły się ptaki, kręciły się i podlatywały około niego.. Przyleciała para gołębi dzikich gruchając i pierzchnęła, kukułka zakukała kilka razy, górą zaszlepotwały skrzydła jakiegoś wielkiego ptaka, którego dojrzeć nie mógł.

Cisza nastawała ze dniem.

W dali słychać było ze śpiewami odciągające gromady. Słońce zajrzało w głąb lasu, na wzgórzach nie było już nikogo.

Miotając się ciągle i targając, Sambor nareszcie gębę naprzód potrafił od chusty uwolnić, zębami na rękach i piersi więzy porozrywał, po długiej męce pękły nareszcie – był wolnym!

Złamany, poraniony, wściekły, wyrwał się biegnąc ku polanie. Tu pusto już było, dymity jeszcze gdzieś niedogaste ognie, leżały czarne węgli kupy i potłuczone garnki, i rozbite naczynia. Wszystkie gromady poodciągały do domów. Sambor półżywy, spotniały, zwlókł się i stanął, gdy usłyszał głos za sobą.

Z dała na ziemi pół leżała, na pół siedziała baba. Zwano ją wiedźmą Jaruha. Ta to sama była, która w lesie Dziwie na Kupale iść odradzała, ale sama śpieszyła, i widać było teraz, że nie darmo... Jaruha, która była okolicy i gospodyń postrachem, bo łatwo jej było mleko odjąć, we zbożu węzeł zawiązać, wodę zaczarować, dzieżę zakwasić – miała się dobrze przy Kupale.

Poili ją wszyscy, aby gniewna nie pomściła się urokiem. Siedziała rozmarzona, pijana, wahając się, przechylając, podśpiewując, szepcząc sama do siebie. Zobaczywszy Sambora, podniosła rękę i wołać nań poczęła.

– Hej, sam tu, chłopcze, rękę mi daj! Zaraz mi rękę daj!... Nie bój się, nic ci złego nie zrobię... Jeszcze ci mogę lubczyku⁶ dać, aby cię dziewczęta kochały... ino mi rękę daj, rękę daj! Bo sama nie wstanę, a muszę iść! Chłopcze... Słyszysz! rękę daj lub urok ci rzucę... kark skręcisz do nowego miesiąca... Rękę mi daj!

Sambor się odwrócił, żal mu się starej zrobiło.

– Jaruho! – rzekł – choćbym ci się podnieść pomógł, nie pójdziesz ty o swej sile, a ja cię prowadzić nie mogę, bo mi do chałupy czas.

– Nie mędruj, daj ino rękę... Jak wstanę, jak się ustoję, pójdą jeszcze nogi moje... Chłopcze...

Sambor przystąpił i oburącz podniósł starowinę. Trzęsła się stojąc, chwiejąc, jak gdyby paść miała, ale utrzymała na nogach. Oczyma zakrwawionymi popatrzyła na niego.

⁶ *lubczyk* – zioło, któremu przypisywano moc wzbudzania miłości. [przypis edytorski]

– Cóżes to ty spał tak długo ? – zabełkotała.

– Nie spałem, matko! Żli ludzie mnie związali, ledwiem porozrywał pęta... Jaruho! Nie stało się co na Kupale?

Starucha popatrzyła nań, przekrzywiła usta i rozśmiała się.

– A co się stać miało? To, co się zawsze na Kupale dzieje. Kupala bóg gorący, dziewcząt dosyć nacałował... A jedną, najkraśniejszą! he?..

Ręką machnęła i zaśpiewała ze śmiechem:

Przyjechał pan na koniku,
Porwał dziewczkę przy gaiku...
Oj, gaju – ty zradniku...
Oj byłoż – było krzyku!
Kupało!

– Którą? Kto?.. – zakrzyczał Sambor.

Starucha palcem pogroziła na nosie.

– Ej ty! parobku... parobku!.. Tobie się też jej chciało! Gospodarskiej córy. Zerkales i ty na nią, ja wszystko wiem... Pyszna była... mądra była... w wianku sobie chodzić chciała... Ano... wianek z wodą płynie... z wodą. Porwali ją... porwali młodą... do komory, do komory wiodą... Cha! cha! Otóż tobie królowanie dziewicze!...

W ręce plaskać zaczęła, a Sambor załamał swoje.

– A bracia! a czeladź! a nasi!...

– Pobili, potłukli, porwali, ponieśli... Albo to na Kupale nowina! Albo to co złego?... Co się młodość ma marnować?

Doman kmieć bogaty... Kobiet ma kilka, a żony żadnej. Ona tam będzie królować... Oj, Kupała! Kupała! – zaczęła Jaruha śpiewając, zataczając się i w ręce chude poklaskując.

Stał Sambor jak zabity. Baba w oczy mu patrząc, śmiała się.

– Dobrze tak! Harda była! Ja to wiem, ja to wiem, czego się jej chciało... u ognia w chramie⁷ stać, by się jej ludzie do kolan kłaniali, a ona im wróżyła... E! e! A do garnków, do kądzieli! Pomiała swatami, żaden go dzien jej nie był... Jam jej wczoraj mówiła: nie idź na Kupałę... Przyszedł księżyc, panicz gładki, nie pomoże krzyk i płacze, na konika z dziewczką skacze... Na koń wsadził, na dwór biały uprowadził... Ot, co może Kupała...

Śpiewała Jaruha, podskakując na murawie, choć nogi jej nie bardzo służyły. Sambor się oddalał z głową zwieszoną.

– Bywaj zdrów, dobry chłopaku – wołała za nim. – Pójdę już ja bez pomocy... A ty, coś starej podaś rączkę, jak zechcesz, to ci młodą wyswatam... taką, że ją tylko całować a całować i jeść jak malinkę... Bywaj zdrów... idę sama...

I poszła powoli, podśpiewując, śmiejąc się głośno do siebie, hukając ku lasom, rozmawiając z ptakami, które przelatywały.

Chłopak się włókł niespokojny i gniewny do domu. Drogą znaną same nogi wiodły.

Gdy stanął u zagrody, znalazł w podwórku wszystkie niewiasty zawodzące, parobków z Ludkiem w drugim końcu zebranych. Ludek miał głowę zakrwawioną. Kłócili się wszyscy, siostry i bratowe płakały.

⁷ *chram* – świątynia. [przypis edytorski]

Wpadli na powracającego wszyscy, gdzie był. Począł opowiadać, co się z nim działo, oni mu też, jak ich już powracających, z lasu wybiegłszy Doman z ludźmi napadł i mimo oporu Dziwy, co go przekleństwa i łzami odstraszyć chciała, na koń ją rzucili i unieśli. Ludka, który jej bronił, uderzył jeden po głowie oszczepem, innym się też razy dostały.

Jeszcze spór trwał o to, kto winien, że dziewczki nie obroniono, Ludek chciał zgromadzić swoich i napaść na dwór Domana, aby się pomścić gwałtu i zniewagi, choć drudzy go odwodzili tym, iż zwyczaj był nieraz żony porywać, a gdy pochwyconą została, nie godziło się jej odbierać, gdy we wrotach ukazała się – Dziwa!

Krzyk wyrwał się z piersi niewiast, które gromadą ku niej pobiegły.

Stała z twarzą płomienistą, niemal krwawą, na koszuli widać było też krwi bryzgi, konia za uzdę trzymała, który ją tu przyniósł. Wianek jej w drodze ze skroni spadł, odzież miała zmiętą i zszarzałą, w oczach błyskał ogień straszny.

Stanąła przed chatą, milczała, zdawała się na pół obłąkaną.

Rzucili się ku niej, wołając: Dziwa! Siostra padła wieszając się jej na szyi i płacząc. Dziewczę długo jeszcze, drżące, słowa nie mogło wymówić, Sambor otworzył jej wrota i z lekka cugle konia wziął z jej ręki.

Z wolna poczęła iść ku chacie, nie patrząc na nikogo, ledwie uściskawszy siostrę, która ją pocałunkami okrywała. Doszła tak do przyzby, padła na nią, ręce opuściła i załamała.

Obstąpili ją wszyscy kołem.

– Dziwa, jakżeś ty mu się wyrwała?

Nie mówiła długo nic. Żywią jej w kubku świeżej wody przyniosła, napiła się, westchnęła, z oczu puściły się łzy.

Sambor coś szeptał patrząc na konia, był to koń Domana, po sierści jego jasnej płynęła struga krwi przystygłej.

Dziewczyna siedziała zamyślona, to ręką wodząc po czole, to coś szepcząc sama do siebie i uśmiechając się smutnie.

– Tak chciał! – zawołała nareszcie – zamiast Dziwy... Nija⁸ mu się dostała... Tak chciał... Jam zabiła Domana... Po co mnie brał siłą?..

Spojrzała na brata marszcząc brwi.

– A! Wy! coście mnie obronić nie umieli... Jam się lepiej potrafiła. Od świętej góry do Domanowego dworu daleko... Ujął mnie w pól i cisnął... konia siekł... lecieliśmy czwałem... krzyku mego nikt nie słyszał... Chciałam mu wydrzeć oczy, ręce miałam jak połamane... Drgały mi z gniewu i złości... Śmiejąc się uspokajał. Mieczyk mu błyszczał u boku... Zobaczyłam go... Zmilczałam przyczaiwszy się... Jemu się zdało, że mnie ugłaskał... Milczałam, jedno drugiemu patrzyliśmy w oczy... Jak dziecko bawił mnie obietnicami... słuchałam. Koń ustając zwalniał biegu. Mieczyk mu świecił u boku... Do dworu było daleko... Mówił, że mnie miłował i dlatego gwałt uczynił... Patrzyłam mu milcząc w oczy... Mieczyk drżał pod moją dłońią... Schylił się, chcąc pocałować... nie krzyknęłam... nóż

⁸ *Nija* a. *Nyja* – bóg (tu: bogini) świata podziemnego w mitologii słowiańskiej; odpowiednik **Plutona** w mit. rzym.. [przypis edytorski]

miałam w rękę... Do zagrody było daleko, gdym mu mieczyk w piersi wbiła... jego własny... Chwytał za piersi rękami i spadł na ziemię... a jam z koniem poleciała... Nie było mnie gonić komu, ludzie przy panu zostali.

Spojrzała po braciach, którzy zasepieni milczeli, po siostrach, które strwożone oczy sobie rękami pozakrywały. Ludek patrzył na nią.

– Domanowe braty nie darują – rzekł. – Krew trzeba będzie dać za krew...

Dziwa i wszyscy umilkli.

Trwała cisza długo.

– Mnie już tu nie być – odezwała się nareszcie dziewczyna patrząc w ziemię – pożegnam ja się z wami i pójdę stąd na zawsze... Jak mnie nie stanie, zemsty za mnie brać nie będą... Pójdę gdzie oczy poniosą, kędy dola poprowadzi...

Wstała Dziwa, niewiasty wszystkie płakać i jęczeć zaczęły. Żywia objęła ją za szyję i razem weszły do chaty.

Bracia naradzali się cicho, co poczynać mieli. Dziwy długo nie było. Poszła święteczne potargane zwlec szaty i wianek uwić sobie nowy. W komorze po cichu związała węzełek bielizny na drogę, a Żywia, widząc te przygotowania, na ziemi płacząc legła.

Płakały potem cicho, ściskając się obie.

– Żegnaj mi jedyna, żegnaj rodzona... – pół śpiewając mówiło dziewczę. – Żegnaj ty mi na wieki! Ja muszę iść, porzucić wszystko... gdzie oczy i dola niosą. Pójdą na ostrów⁹, na

⁹ *ostrów* – porośla roślinnością wyspa na rzece a. jeziorze. [przypis edytorski]

Lednicę, do chramu Nijoły, stanę u ognia świętego, stać będę aż oczy wypłaczę i zgasną... aż ja żyć albo ogień palić się przestanie.

Wyrwała się z objęcia siostry.

– Teraz chodź, Żywio moja, siostró jedyna, pożegnajmy ognisko, pożegnajmy kąty, pożegnajmy progi i ściany, i bydełko, i konie, i wszystko żywe i martwe... z czym się żyło, co kochało...

Uroczyste to było pożegnanie, do którego się wszystkie przyłączyły niewiasty. Szła Dziwa do ogniska i rzuciła nań łuczywo ostatnie.

– Bywaj zdrowy, ogniu mój domowy... Już ja ciebie nie podsycę, świecić mi do kądzieli nie będziesz, ani grzać zziębniętą... Ogniu ojca, matki, sióstr i braci... świeć im jasno, grzej im duszę... Bywaj zdrowy...

Szli potem do chlebnej dzieży, którą Dziwa objęła.

– Bywaj zdrowa, matko, coś mnie chlebem białym karmiła... bodajś zawsze pełną była i we czci u ludzi stała... Chleb twój karmić mnie nie będzie...

Tak samo próg żegnała, komory, gumna, stodoły, szopy, krówkę czerwoną, owieczki bure i konie, i psy nawet... i studnię, z której wodę brała, i wrota.

U studni wzięła Dziwa wiadro, zaczerpnęła raz ostatni, napiła się i zapłakała... Uściskała siostrę, bratowe, braci, wszystkich pożegnała kłaniając się do nóg wkoło... Wrota raz ostatni otwarły się i zamknęły za nią; szła żegnać rzekę, co pod dworem

płynęła i kamienie, na których ojciec siadywał.

Nikt się podróży tej sprzeciwić nie śmiał. U płota uwiązany stał koń skrwawiony Domana, kazała go puścić i nagnać, aby do swojego wracał stada.

Stara Wielicha i dwu zbrojnych parobków odprowadzać ją mieli do jeziora, na Lednicę. Sambor się wprosił trzeci.

Gdy Dziwa jeszcze raz ostatni obejrzała się ku zagrodzie a powiała chustką białą, płacz i jęk dały się słyszeć ze dworu. Siostry i bratowe posiadały na ziemi i jak po umarłej zawodzić poczęły.

A w dali słyszeć było, jak koń Domana puszczone na wolę czwałem, rżąc, przez lasy pędził do swoich.

II

Koło dworu Domanowego cicho było i pusto, gdy następnego dnia Myszko przybył na koniu i stanął u wrót.

– Nie ma Domana? – zapytał sługi, który we wrotach stał.

Milczał parobek.

– Jest pan doma? – powtórzył.

Nie było odpowiedzi.

– Cóżżeś to oniemiał? – zawołał po raz trzeci, groźnie już, przybyły kmicz, któremu się czoło pofałdowało.

– Co mam mówić? – nieśmiało począł chłopak. – Doman leży na pościeli raniony, baba mu ranę myje i ziołami zakłada... Dyszy jeszcze... ano, życia mało.

Myszko się rzucił na koniu i skoczył z niego.

– Kto go ranił?

Tu znowu zabrakło odpowiedzi; pokraśniał sługa, oczy spuścił, widocznie wstyd mu powiedzieć było. Niepewien nawet był, czy się godzi zdradzać te tajemnice, bo dla mężczyzny, rana przez dziewczkę zadana, bezczestną¹⁰ była prawie.

– Nie wiem – rzekł ostrożnie parobczak, chociaż świadkiem był, gdy padał Doman na ziemię.

Myszko się dziwnie nań popatrzył, lecz już nie spytał go więcej i z wolna pociągnął do dworu, do świetlicy.

Ciemno w niej było. Przy ogniu, który się palił maleńki wśród

¹⁰ *bezczestny* – hańbiący, odbierający cześć, godzący w honor. [przypis edytorski]

kamieni, skurczona siedziała Jaruha, prażąc coś w garnuszkach i skorupkach i szepcząc po cichu.

W głębi izby, na skórze, leżał blady, z oczyma w słup otwartymi, z usty, których blade wargi były rozwarte, w gorączce, półsenny Doman. Na piersi widać było pokrwawioną koszulę i płachty mokre.

Jaruha spojrzała na wchodzącego i palec pomarszczony, czarny, położyła na ustach, ale Doman już drgnął, ruszył się, jęknął i jakieś mruczenie niewyraźne z ust mu się wyrwało. Oczyma zatoczył, ciałem się ruszyć nie mogąc. Myszko szedł ku niemu powoli. Ni jeden, ni drugi nie mówił nic, gość siadł w nogach na ławie.

Tymczasem starucha sięgnęła do kubka stojącego przy niej, napiła się, otarła usta i poszła mokre jakieś niosąc ziele do chorego. Położyła mu je na piersiach, zaczęła mrużyć, ręce obie nad nim podniosła, przebierając palcami, splunęła na jedną i drugą stronę. Doman nie ruszał się, tchnął tylko ciężej.

Na ten znak życia pies, który leżał na ziemi, podniósł głowę z wolna i wlepił w pana oczy.

Myszko nie spuszczał z niego wejrzenia, ale się odzywać nie śmiał. Zdawał się chory spać i marzyć. Niekiedy białe zęby jego ścięły się i zazgrzytały, to znów uśmiechał się niby. Ręce mu drgały, jakby coś chciał pochwycić... i opadały bezsilne.

Myszko skinał na Jaruhę.

Przystąpiła doń, wprzód rozpatrzywszy się w nim dobrze i stanęła z pokorą.

– Kto go ranił? – zapytał gość.

Jaruha milczała długo, trzęsąc głową.

– He? Dzik! – rzekła. – a tak! dzik... kłem... rozdarł mu piersi...

Gość oczy ciekawe zwrócił na nią i ruszył ramionami.

Jaruha się poprawiła.

– Jeleń... albo ja wiem?.. Na łowy wyjechał, a z łowów go przynieśli...

I trzęsa głową, brodę w rękę ściskając.

– Oj, łowy te, łowy... gorzej wojny takie łowy!...

Widocznym było z twarzy gościa, iż słowom jej nie wierzył. Ale w tej chwili na progu ukazał się Domanów brat, Duży. Myszko wstał i podszedł ku niemu, a Jaruha u łoża stojąc za nimi patrzyła, bo wyszli ze dworu na podwórko.

– Mówże choć ty prawdę – zapytał Myszko. – Co mu jest, kto go ranił? gdzie?

– Wstyd przyznać się – cicho szepnął brat młodszy – za dziewczką poleciał na Kupałę, za Wiszową... porwał ją na koń... Dziewka mu miecz od pasa wzięła i w piersi wbiła...

Spuścił głowę Duży, jakby go to wyznanie zbyt wiele kosztowało.

Namarszczył się słuchający.

– I uszła? – spytał oburzony.

– Doman z konia padł, bo go srodze raniła, nie wiem, czy i żyć będzie, choć baba krew zamówiła i okłada ranę – mówił Duży – a dziewczyna z koniem do domu uszła.

Słuchając opowiadania Myszko zdawał się ledwie uszom wierzyć; śmiałość dziewczyny, nieopatrność Domana wydawały się niepojętymi. Zamilkł.

– Wywołajcie babę – rzekł po namyśle. – Spytamy jej, czy z niego co będzie, czy przepadł... Mnie on potrzebny i nam wszystkim...

Posłuszny chłopak skinął od progu na Jarułę, która z udaną powagą, choć widocznie podchmielona, wysunęła się z chaty.

– Słuchaj, stara wiedźmo – rzekł odwracając się ku niej przybyły – będzie on żył?

Jaruha podniosła głowę, pokiwała nią, spuściła, podparła brodę na rękę, myślała długo.

– Kto to może wiedzieć – rzekła – albo to ja tam była, gdy mu krew upływała? Albo ja patrzyła, gdy go zabijali?... Ja swoje robię... Krew zamówiłam, ziela nawarzyłam, płachty położyłam... a może kto ranę przeklina... może urok rzucili?...

Nie można się z niej było dowiedzieć więcej. Myszko stał zafrasowany, gdy w świetlicy usłyszeli wołanie.

– Bywaj tu!

Pobiegli wszyscy, Doman się był, na łokciu spierając, podniósł blady, ale przytomny, i pić prosił. Jaruha mu jakiegoś gotowanego napoju przyniosła, który pochwycił chciwie. Oczyma powiódł po izbie, brata poznał, a obcego zobaczywszy spuścił oczy. Ręką uciskał piersi, jakby mu co zawadzało. Myszko stał nad nim.

– Widzisz – rzekł – z koniam padł... i na mieczyku się

przebiłem...

Nie śmiał oczów podnieść.

– Myślałem, że mi koniec przyjdzie... ano, jeszcze żyję...

– A to ja wam krew zamówiłam, proszą miłości waszej – wtrąciła Jaruha. – gdyby nie ja! he! he!

– Co wy tam uradzili, Myszku? – spytał, odwracając rozmowę.

– Dziś z tobą o tym nie gadać, kiedy leżeć i lizać się musisz.

– Wylizę się... – rzekł Doman. – a nie chcę, abyście mnie zapominali, jeśli co do roboty macie... Nie ja, to bracia pójdą i ludzie... Byłem chodzić mógł, nie zaśpię doma... Człek najprędzej wydobrzeje, gdy na konia siądzie...

– Nieprędko wam o koniu myśleć – przerwała Jaruha – krew by się znowu puściła, a jakby mnie nie było do zamówienia...

Nikt baby nie słuchał i umilkła. Duży nawet na drzwi jej wskazał. Wiedźma pokręciwszy się około ognia wyszła, mruczając.

– Źle z nami – rzekł Myszko – źle z nami, Domanie. Na wiecuśmy nie obradzili nic, a teraz gorzej się jeszcze kroi. Chwostek sobie zebrał dużą drużynę, nawet między naszymi... Bodaj¹¹ po Niemców posłał i Pomorców, aby mu w pomoc przybywali; chce nas wszech zawojować i obrócić w niewolniki... Radźmy sobie...

– Pierwsza rzecz – rzekł Doman – tych się zbyć, co jemu służą, a z nami iść nie chcą, bez tego nic...

¹¹ bodaj – podobno, chyba. [przypis edytorski]

– Pewnie – odparł Myszko. – Z tymi, co jawnie z nim trzymają, rzecz łatwa... ale kto wie, ilu z nim potajemnie?.. Starego Wisza nie stało.

Na wspomnienie starego Wisza głowę spuścił Doman i zamilkł.

– Trzeba nam dalej prowadzić mirową¹² sprawę... Nikt nie chce stanąć na czele gromady, aby mu się to nie stało, co Wiszowi... Jechałem do was na radę... a wy....

– E! e! co będę kłamał – żywo zawołał, jakby z trochę gorączki Doman.

Odślonił piersi, odrzucił płachtę i śmiejąc się dziwnie pokazał sinią, ledwie przysychającą ranę, która miała kształt miecza, jakim była zadana.

– Patrz, Myszko – dodał – dziewczka mi ją zadała! dziewczka! Wiszowa dziewczyna. Wyrwała mi się z rąk jak śliski węgorz... Srom i wstyd! Przed ludźmi nie pokazać oczu chyba, póki jej nie będę miał... Nie utai się to... własna czeladź mnie zdradzi... baby się ze mnie urągać będą... Prawda, brata raniłem, gdym ją chwycił, ale od dziewczki dostać ranę...

Padł na pościel.

– Weźmiesz ją i pomścisz się – zawołał Myszko. – Chciałeś ją mieć za żonę... Uczynisz niewolnicą lub – zabijesz... nie truj się tym i bądź spokojny...

– Byłem siły miał trochę, doma nie zostanę... pali mnie łożo i srom...

¹² *mirowy* – dotyczący miru, tj. gminy. [przypis edytorski]

– Słuchajże, Doman, wy z kim ? – przerwał Myszko.

– Z wami... – odparł krótko ranny i wskazał na brata. – on, ja, moi ludzie, czeladź. My, stare kmiecie, jesteśmy do swobody nawykłe, do ostatniej kropli krwi miru bronić będziemy. Kneź mir łamie, niech głowę da!

– Niech da głowę! – zawołał Myszko i wstał. – Więcej już słyszeć nie chcę i nie potrzebuję... Na tym dosyć...

Duży przyniósł mu miodu w kubku, gość z pośpiechem do ust go zbliżył i napił się, biorąc rękę Domana.

– Za rycze wyzdrowienie twoje... Słowo?

– Słowo kmiecie... i klątwa¹³... ja z wami... a umrę ja, z wami bracia, do ostatniego...

I legł na pościel. Myszko wyszedł i na konia siadł.

Na powrót weszła Jaruha zbliżając się do łoża chorego; spojrzała na piersi, z której płachty zrzucone leżały na ziemi i załamała ręce. Poczęła je podnosić, mrużąc.

– A zdrowym byś być chciał, miłościwy panie – poczęła. – Baba was wyratowała i słuchać jej nie chcecie!...

Nie opierał się chory, gdy mu znów owe mokre zioła i bliznę na piersi przyłożyła. Znużony, choć małym wzruszeniem, Doman się zdrzemnął zaraz. We dworze milczenie było znowu.

Nadchodził wieczór, gdy Duży, stojąc we wrotach, zobaczył jezdnych z lasu wychylających się na pole.

Było ich czterech. Jeden przodem jechał wprost na dwór. Już z dała poznał chłopak Bumira, kmiecia, który mieszkał ku Gopłu.

¹³ klątwa (daw.) – przysięga; por. czas. zaklinać kogoś. [przypis edytorski]

Bumir stary był już, ale jak żubr silny, kark miał gruby, nogi i ręce ogromne, brzuch spasty. Ciemne włosy, na pół już siwe, bezładnie otaczały mu głowę okrągłą, w której wypukłe oczy żabie i usta szerokie siedziały. Z Bumirem mało co się znali, nie lubił go Doman, po co tu ciągnął, trudno było odgadnąć. Stał ze swymi u wrót.

Gościnność stara nikogo, miłego czy nie, odpychać nie dozwalała.

Pozdrowili się z Dużym.

– Zabłąkałem się – rzekł Bumir – dacie mi spocząć u siebie. Ludzie się zagnali za jeleniem, który oszczep niósł w sobie. Jakiś zwierz, w którym Licho¹⁴ siedziało, poprowadził nas na obłędy¹⁵... drugi dzień włóczymy się po lesie...

– Brat mój się okaleczył, leży ranny – odezwał się Duży – ale dom rad wam.

– Ja rany leczyć umiem – zawołał Bumir – pójdę, zobaczę...

– Baba go opatruje...

Bumir sapiąc z konia zlął i nie pytając do izby ciągnął¹⁶.

– Sadło, którym rany zalewam, czeladź ma – odezwał się Bumir. – Zalejemy mu sadłem i do kilku dni znaku nie będzie.

Wchodzili do izby, Doman, jakby poczuł już obcego, ruszył się zaraz. Jaruha, która przy ogniu drzemała, zbudziła się spluwając i gniewna. Bumir, nie zważając na nic, do chorego

¹⁴ *lich*o – zły duch, diabeł. [przypis edytorski]

¹⁵ *na obłędy* – błędnymi drogami. [przypis edytorski]

¹⁶ *ciągnąć* – tu: iść, podążać. [przypis edytorski]

poszedł.

Gdy na siebie spojrzeli, zaraz postrzec było można, że gospodarzowi gość ten niemiłym był.

– Zabłądziłem, dacie mi spocząć... – rzekł siadając na ławie.

Doman ręką skinął i bratu dał znak, by gościa przyjmował.

Bumir się rozsiadł i sparł na stole.

– Sadło moi ludzie mają – rzekł – które najsroźsze rany goi...

Niedźwiedź jucha raz mi do połowy skórą ze łba zdarł, wyleczyli mnie nim...

– Miłościwy panie – zawołała Jaruha – już tu nic nie trzeba... ja krew zamówiłam i zioła mam, co ranę prędko przygoją. Nie trzeba nic.

Chory też dał znak ręką, Bumir zamilkł.

Wszedł Duży z miodem znowu i z kołaczem, a za nim wnieśli misy. Gość zaczął jeść łakomie, pić chciwie i póki się nie nasycił, sapał tylko. Jaruha wyszła na podwórze, gdzie się rozrywała, żarty strojąc z czeladzią. Duży też stadninę zaczął opatrywać – zostali sami. Bumir znać¹⁷ tego sobie życzył, bo się zaraz do gospodarza przysunął.

– Ej, Domanku miły – zaczął pochylając się ku niemu – nie w porę tobie ta rana i choroba... U nas źle... nam trzeba ludzi i rąk... Kmiecie, braty nasze, burzą się i złego piwa nawarzą...

Namarszczyło się czoło choremu.

– Cóż się to tam dzieje? – mruknał.

– Na naszego knezia wszyscy bij zabij... poszalawszy...

¹⁷ znać – tu: widać; widocznie. [przypis edytorski]

Doman, już nic nie mówiąc, słuchał.

– Zginiemy wszyscy – rzekł cicho Bumir. – Knezia pogniwiali, zemstę wywołają, Niemców sprowadzi na nas...

Widząc, że gospodarz nie mówi nic, Bumir ciągnął dalej.

– Jest już zmowa na knezia... już się zbierają, radzą... a wszystko to tylko, aby jednego ze swoich posadzić na grodzie. Nie o swobodę im idzie, a o skarby na zamku... My to wiemy. Ano, omylą się, bo nas jest dużo też, co staniemy za kneziem i nie dopuścimy... Nie dopuścimy!... – zawołał Bumir, bijąc kubkiem o stół.

Oczy mu się zapaliły.

– Myszkom się chce panować, my wolimy tego, co jest... My już go znamy, a tamci jeszcze się nie napiwszy, głodniejsi będą... Nie dopuścimy...

– Obliczyliście się? – zapytał Doman.

– Co się mamy liczyć?... Leszki pójda wszystkie z nami, bo to ich sprawa, pojedną się... kmieciów też dużo jest, co chcą spokojnie swoje **lechy**¹⁸ uprawiać... a gromady, co się wyrwą, kneziowscy ludzie rozgniotą na miazgę.

Bumir się tak odkrył ze swą wiarą, po miodzie, nieopatrznie; Doman, daleko przebieglejszy od niego, dawno przewidział, ku czemu to idzie i czuł, że Bumir go spyta nareszcie, z kim on trzymać myśli. Powiedzieć fałszu nie chciał, a prawdę zdawało mu się wyśpiewać niebezpiecznie. U narodów wpół

¹⁸ *lecha* – zagon. [przypis edytorski]

wykształconych¹⁹ instynkt zachowawczy często dziwne formy przybiera i do różnych fortelów się ucieka. Domanowi przyszło na myśl, aby się chorobą posłużyć, w chwili, gdy Bumir kończył mówić, jęczeć począł i chwycił się za pierś.

Jaruha stojąca pod oknem usłyszała ten głos i pospieszyła nań.

Bumir umilkł. Przyniesiono zaraz płachty nowe; chory się skarżył. Wiedźma zapowiedziała, że musi zamawiać ranę i że nikomu przy tym być nie wolno. Stary kmieć czarów się i bab obawiał. Z przerwana więc rozmową wyniósł się za próg sapiąc, obiecując sobie wrócić dla dokończenia jej, ale po dość długim oczekiwaniu Jaruha wyszła objawiając, że skutkiem jej zamawiania chory zasnął i spać będzie do jutra, do rana, a snu mu przerywać nie wolno, bo by duchy złośliwe chorobę rzucić mogły na tego, co by obudził chorego.

Rad nierad Bumir się znalazł w podwórzu, nic nie sprawiwszy, z tym że na resztę musiałby czekać do rana. Na to nie było sposobu. Pilno jechać musiał drugich namawiać, bo go był kneź znać wysłał, wziął więc na bok Dużego.

– Ja do jutra rana tu stać nie mogę – rzekł mu niecierpliwie. – Doman śpi... Jutro mu powiecie ode mnie, aby pamiętał, co mówiłem i z tymi trzymał, co mir miłują, a radzi siedzieć w pokoju. Powiedzcie mu to koniecznie, ja przed nocą jeszcze kawał drogi ujechać muszę.

Taką sztuką odprawiony Bumir, zły, mrużąc na konia siadł i pociągnął dalej. Doman wszakże spać nie myślał, babę tylko

¹⁹ *wpół wykształcony* – tu: na poły ukształtowany. [przypis edytorski]

namówiwszy, aby mu się wyklamać pomogła. Zaledwie usłyszał, że konie za wrotami były, ruszył się na pościeli. Leżenie mu dokuczyło, chciał choć popróbować, czy mu się wstać nie uda. Przeraziła się Jaruha, która wcale nie życzyła sobie widzieć go uleczonym tak prędko, i poczęła niemal gwałtem nazad pędzić na łożo. I siły też nie pozwalały bardzo się dźwigać. Doman zaledwie popróbowawszy i poczuwszy się jeszcze osłabłym, nazad na łożo legł. Jaruha znowu zamawiała. Miała przy tym jeść i pić do syta, czyniła się też potrzebną, jak umiała.

Późno już było i Doman usnął po tych wysiłkach, gdy nowy gość do chaty się wcisnął.

Jak on tu potrafił się dostać, trudno było babie zrozumieć.

Właśnie usnąć miała, oparłszy się o ognisko, gdy na progu zobaczyła kocie oko Znoska...

Z głową obwiązaną płachtą, z okiem ciekącym, karzeł wsunął się do izby tak cicho, iż Jaruha ujrzawszy go, przełękła się, jakby wilkołaka zobaczyła.

Psy stróżowały na podwórzu, ludzie spali, wrota były zaparte. Pomimo to Znosek się dostał do zagrody. Jak? To było jego tajemnicą. Wśliznąwszy się tu, podpełznął do starej, pokazując na swą głowę poranioną. Jaruha była litościwą, leki i czary stanowiły jej rzemiosło, dozwoliła się więc zbliżyć Znoskowi i z wolna głowę mu rozwiązała. Przyschła płachta odmaczaną być musiała, gdyż Znosek syknął z bólu, a Doman się obudził.

– Jakeś ty tu wlaź, że cię psy nie zjadły? – szepnęła, głos zniżając, wiedźma.

Znosek ledwie dosłyszonym szeptem odpowiedział jej na ucho, iż dowiedziawszy się, że ją tu znajdzie, musiał się dostać do dworu, bo go rany niezmiernie bolały.

Przyznał się, że nie mogąc inaczej, wdrapał się na drzewo stojące przy częstokole u zagrody, i po gałęziach jego spuścił się w podwórze. Tu psów nie budząc, przepęłznął do drzwi, które zawsze stały otworem.

Jaruha ranę mu poczęła opatrywać, szeptać nad nią i spluwać na wszystkie strony. Z węzełków potem swych dobyła ziół, z garnuszka naląła cieczy jakiejś i kazawszy z głową spuszczoną siedzieć Znoskowi, obwiązała go na nowo. Ogień przygasł był nieco i w izbie było prawie ciemno, ale właśnie, gdy z głową spuszczoną klęczał przed nią karzeł, błysnęło łuczywo, blask oblał izbę, Doman się zbudził, otworzył oczy i ujrzał tę dziwną parę.

Obcy człowiek bez wiadomości jego w domu... w podrażnionym chorobą gniew obudził. Sądził go jeszcze śpiącym, gdy nagle krzyknął straszliwie, wołając ludzi. Znosek chciał się wyśliznąć i uciec, ale już było za późno. Czeladź śpiąca za progiem zerwała się na nogi. Padł karzeł na ziemię twarzą. Zaczęło się wołanie, popłoch i Znoska schwyciła czeladź, prowadząc przed pana.

O tym stworzeniu, którego Doman nie widział nigdy, chodziły wieści dawno, jako o złośliwej istocie, będącej na posługach knezia. Wiedziano, że podpatrywał, że się wszędzie wśliznąć umiał i że go używano na podsłuchy. Domyśleć się było łatwo

z postawy, kim był.

W pierwszym gniewu napadzie Doman chciał go kazać powiesić na dębie. Znosek padł przed nim na twarz, jęcząc i błagając. Jaruha się wstawiać nie chciała, świadczyła tylko, że przyszedł dla ran, które miał na głowie.

Czeladź już się brała do postronków, aby z ochotą wielką spełnić rozkaz pana i Znoska jak wielką żołądź na dębie uwiesić, gdy na jęk i płacze Doman się ulitował i – psami go za podwórze wyszczuć kazał. Wyprowadzono go więc do drzwi, na psy świeżo i uciekający co tchu ku tynowi karzeł, poszarpany, ranny, ledwie się potrafił całemu stadu goniących go ogarów wyrwać, zręcznie na płot wskoczywszy. Jeden z psów, który się był nogi jego uczepił, zawisł długo przy niej i wyrwawszy z niej to, co zębami chwycił, upadł na ziemię. Znosek jednak tyn przeskoczył i za zagrodą zniknął.

Jaruha już siedziała spokojnie u ognia i może nawet żałowała, że go nie powieszono, gdyż z wisielców różne bardzo potężne leki i czary naówczas wyciągano, które by się jej były przydały. Nie obwiniano jej o to, że się przybłędzie ulitowała, i pozostała znów przy ognisku.

Znosek padłszy za zagrodą na ziemię, z nową raną, jęczał, pięście wyciągając ku dworowi i przeklinając jej pana. Obiecywał sobie pomstę, choćby życiem zapłacić, a o tę zausznikowi kneziowskiemu było łatwo. Gdy nogę zawiązawszy, powłókł się nad ranem w las, aby go nie schwytano znowu, ciągle jeszcze ku zagrodzie się zwracał, pokazując jej pięści i zęby.

III

Na jeziorze Lednicy leżała wyspa, ostrów święty, do którego z dala, od Wisły nawet, od Łaby, od Odry przychodzili z ofiarami po wróżby i rady pielgrzymi.

Niewiele naówczas takich chramów i świątyń liczone na ziemiach słowiańskich. U Ranów na ostrowiu²⁰ stał chram Światowida²¹, u Redarów²² drugi, u Serbów nad Łabą Tryglowa²³ trzeci, w Stargrodzie w gaju czczono Prowego²⁴. Ciągnęły do nich na wielkie świętki i dni uroczyste różne plemiona z dalekich stron, schodzili się ludzie jednego słowa, choć różnej nieco mowy, i u świątyń tych radzili i porozumiewali, co ku obronie od wspólnych wrogów przedsiębrać mieli.

Na ostrowiu Lednicy stał taki chram Nii, do którego szła właśnie Dziwa, schronić się od pomsty i poświęcić resztę życia pilnowaniu ognia świętego.

²⁰ *U Ranów na ostrowiu* – na wyspie Rugii. [przypis edytorski]

²¹ *Światowid* – bóg słowiański o czterech twarzach. [przypis edytorski]

²² *Redarowie* a. *Redowie* – plemię lutyckie, należące do Słowian połabskich; na ich terenach, w Radogoszczy, znajdowała się świątynia Swarozycza, boga ognia ofiarnego i ogniska domowego. [przypis edytorski]

²³ *Tryglów* – w mit. słowiańskiej bóg morza, opiekun marynarzy, pierwszy budowniczy łodzi; poświęcony był mu bursztyn. [przypis edytorski]

²⁴ *Prowe* – bóstwo połabskie, patronujące sprawowaniu sądów, poświęcone mu były dęby w świętym gaju; jego imię wywodzi się niekiedy od słowa **prawo**. [przypis edytorski]

Trzeciego dnia pokazało się jezioro szeroko rozlane, świecące, jasne, a podróżni powitali je pokłonem, bo i ono, jak ostrów, święte było.

Ostrów też z dala się dostrzec dawał, naówczas gęstym gajem i zaroślami okryty. Zakrywały one chram oczom i zdawały się całą wyspę okrywać. U brzegu, na palach wbitych niegdyś w jezioro, stały chatki rybaków nędzne. Przy nich do palów poprzywiązywane czółna kołysały się jak senne, poruszając z falami. Rybacy zamieszkali w tych budkach przewozili na ostrów pielgrzymów.

Wieść niosła, że chaty biednych tych ludzi stały tu od wieków, że ich niegdyś była tu moc wielka, że pale część znaczną wód zajmowały, a na pokładach nad nimi cała niegdyś osada liczna i zamożna zamieszkiwała. Ale z czasem gniły pale, padały chałupy w wodę, ludzie się na łąd przenosili i rozpraszali. Teraz tu tylko pozostało ich kilka, szerniałych, osiadłych nisko, okopconych, a zajmowali je rybacy i przewoźnicy.

U chat na palach pożegnała Dziwa swoich towarzyszków, tu już bezpieczna, sama iść mogła, kędy jej kazała doła. Nie potrzebowała ani druhów, ani družki. Rzucił się jej Sambor do nóg, bo ją od dziecka szanował i miłował.

– Zdrow bywaj, Samborze – odezwała się. – Bądź szczęśliwy... Pokłon odnieś ode mnie siostrze miłej, braciom, wszystkim... nawet ptakom, co koło naszej latały zagrody.

Z chaty na palach, które się trzęsły pod nim, wyszedł stary zgarbiony człowiek, w drżących rękach wiosło trzymając. Nie

mówiąc nic zszedł do czółna, zstąpił w nie, odwiązał i czekał. Dziwa siadła, odbił od brzegu i czółno pomknęło po wodach spokojnych. Towarzysze stali i patrzyli, stara piastunka płakała, padłszy na ziemię. Dziwa chustą wiewała. Białe ptaki nad głową jej się niosły i kwiliły, jakby rozumiały, że się ze swoim rodzonym rozstawała światem.

Czółno płynęło. Już twarzy jej widać nie było, tylko koszulę białą i białą jak ona twarz, a potem plamkę białą, a później ostrów i drzewa zakryły czółenko i znikło. Dziwa płynęła, gdzie ją dola niosła. Wtem łódka się o brzeg oparła i zadrgała, stary wyszedł na ląd i przytrzymał ją. Para kamieni sterczała nad wodą; dziewczę wysiadło i wyszło.

Na ostrowiu cicho było, cicho... Tylko tysiące słowików w krzakach na zabój nuciły. Pomiedzy łozy i olszyny wiodły ścieżki kryte, ludzkimi powydeptywane stopami.

Dziwa szła z wolna przed siebie nie śpiesząc, wiedząc, że dojdzie, gdzie jej losy iść kazały.

Wśród gęstwiny łączka się otwarła zielona. Tu gromadkami siedzieli ludzie i pożywali z kobiałek, co kto miał z sobą, w milczeniu jakimś uroczystym.

Widać było po sukniach, ich barwie i kroju, że ludzie tam byli z krajów różnych. Byli tam mową i odzieżą odmienni od siebie, a językiem pokrewni połabianscy Serbowie, Wilcy i Redary, byli Dalemińcy, Ukrańce, Łuczanie, Dulebianie, Drewlanie z Drażdzańskich lasów, Polanie tutejsi, Łuzanie znad Warty i Odry, Bużanie od Buga, Chorbaci nawet i niezliczone

naówczas plemiona, które się różnymi imionami zwały, z jednych rodów odszczepionych od pnia głównego pochodząc. Widok był zaprawdę piękny tych gromad, co się rozumiały, a przecie nie znały i dziwiły sobie, z których każda miała inną twarz i obyczaj odmienny, a wszystkie czuły się do²⁵ wspólnej prastarej matki.

Nie bratali się bardzo, ostrożnie ocierali o siebie, ale zanucona pieśń, rzucone słowo zbliżało powoli.

Szare, czarne, brunatne, białe świty, siermięgi, opończe, pasami zielonymi, krasnymi, czarnymi i białymi przepasywane, odznaczały plemiona. Uzbrojenie też nie było równe. Plemiona znad Wełtawy i Łaby, bliższe Niemców, już od nich wiele zapożyczyły; ci, co mieszkali ku Wiśle i w głębi, dzicziej wyglądali jeszcze. Znad Bałtu (białego słowiańskiego morza) mieli dużo przywoźnego sprzętu, który im statki z dalekich krajów przynosiły.

Dziwa przeszła pomiędzy gromadami, które ją ciekawymi mierzyły oczyma. Chramu stąd jeszcze widać nie było, bo gęstwina zasłaniała zielona. Wpółśród zarośli trafiła na kamienny obwód pierwszy chramu. Stały te kamienie ogromne, jak je ziemia zrodziła, jak je morze przyniosło, nie tknięte ręką ludzką, z tymi twarzami, jakie im dały wieki, jedne nieopodal od drugich, w odstępach równych, jak zakłęci w głązy stróże. Jak zajrzeć w lewo i prawo, ciągnął ten poświęcony szereg dokoła.

Na jednej z tych brył siedziała kobieta w bieli, podparta

²⁵ *czuć się do czegoś* – dziś: poczuwać się do czegoś. [przypis edytorski]

na rękę. Stara już była i włos miała srebrny, rozpuszczony na ramiona, a na nim dziewiczy wianek ruciany. W rękę trzymała laskę białą, z korą pozostawioną tylko, by ją jak wąż, jak wstążeczka opasywała. Ubiór miała wieśniaczy, biały, świeży i czysty, a przy nim spinki błyszczące. Na twarzy spokojnej, pomarszczonej i zwiędłej widać było życie jakby senne, coś na pół umarłego, nietroszczącego się ani o śmierć, ani o dołę.

Dziwa się pokłoniła przed nią.

Stara oczy powoli podniosła, nic nie mówiąc, ręką jej pokazała na prawo, na drożynę, głowę podparła znowu i dumiała.

Dziewczyzna szła drożyną wskazaną. O kilka kroków stał na kiju sparty starzec niewielkiego wzrostu, odziany bielizną świeżą, w obuwiu z czerwonymi sznury i zarzuconej na ramiona oponicy ciemnej. Czapka wysoka, czarna okrywała mu czoło.

Na zbliżającą się z wolna Dziwę patrzył spod brwi siwych. Skłoniła mu się do kolan.

– Tyś tu panem i ojcem? – spytała.

– Wizun jestem... Tak...

– Przytułku u was prosić przychodzę – poczęła Dziwa, powstając. – Będę Nii ognia pilnować święcie... Od młodu ślubowałam bogom!

Stary Wizun łagodnie i spokojnie patrzył i słuchał. Dziewczę wymówiło te wyrazy szybko, rumieniec okrywał jej twarz.

– Sierota jesteś? – zapytał.

– Nie... miałam niedawno ojca i matkę, mam jeszcze braci i siostrę... Kmieć Wisz był mi ojcem – poczęła mówić. – Wisza

kneziowscy ludzie zabili...

Wizun zbliżył się, ciekawie słuchając.

– Mnie chciał porwać za żonę sąsiad nasz... broniąc się zabiłam go. Nie chcę, aby się jego krwi mścili... przyszłam tu...

– Zabiłaś? – zawołał zdziwiony stary Wizun – ty? zabiłaś?.. Jak się zwał ten człowiek?

– Doman! – odpowiedziała rumieniąc się dziewczyna.

– Doman! Doman! – ręce załamując rzekł stary. – Ja go nosiłem małym na rękach...

Zmarszczył się Wizun.

Dziwa pobladła, ulękła się, aby ją nie odepchnięto. Stary nie mówił nic, sparty na kiju, milczał patrząc w ziemię.

– Doman zabity!... – mówił do siebie. – Zabity przez dziewczkę...

– Mów, jakeś ty go zabiła! – odezwał się stary.

Dziwa drżącym głosem poczęła opowiadanie, tłumacząc się z tego czynu ślubem swym i popełnionym na niej gwałtem. Wizun pytał, czy wie, że został zabitym, nie ranionym, nie chciał wierzyć śmierci. Potem zamilkł.

– Pozwólcie mi tu zostać u ogniska! – zawołała Dziwa.

Nie odpowiadał stary długo, myślał.

– Zostań – rzekł w końcu – aleś ty dla nas i za młoda, i za krasna... Ty nie znasz siebie, zatęsknisz... Bądź sobie gościnią tylko... inaczej ja cię nie chcę... Jak ci serce odboli, pójdiesz! o! pójdiesz!..

– Nie! nie! – rzekła Dziwa. – Zostanę...

Wizun się uśmiechnął smutnie, nic już nie mówiąc, wskazał jej do chramu drogę.

Biegła raczej niż szła we wskazaną stronę Dziwa. Tu stał częstokół i wrota. Częstokół był z polan gładko ciosanych, rzezanych u góry misternie w zęby i koła. Wrota też miały słupy drewniane, strojne jak dziewczęta w rąbki, zęby, w pasy, jedne malowane białą, drugie żółtą i czerwono. Na daszku nad wrotami wisiały wianki, w części poschłe, w części zielone jeszcze i świeże. Stąd liśćmi zielonymi kosaćca usłana już była droga.

W pniu rzezanym pięknie, u którego stał czerpaczek biały, woda była czysta jak łza, źródłana. Dziwa zaczerpnęła jej i napiła się spragniona.

– Bądź mi zdrowa, wodo święta, wodo nowa! – szepnęła.

Zza wrót wyglądał drugi staruszek, do Wizuna podobny, który się od przychodzącej skrył żywo.

Szła droga pomiędzy dwoma częstokołami naokół, a drugie opasanie chramu było jeszcze ozdobniej z drzewa ciosane.

Wisiały na nim skóry, oręż różny i dary, które składali pielgrzymi. Tą drogą trzeba iść było szukając wrót drugich. Do tych spinać się musiała po wschodach. Ciemniej tu było, bo drzewa i opasanie światło odejmowało.

Tu już stał sam chram, na gęstych dokoła słupkach drewnianych oparty i okryty dachem gontowym. Pomiedzy słupkami malowanymi czerwono, z żółtymi przepaski, wisiały czerwone sukienne opony zakrywające wnętrze. Ścian nie było.

Trwoga jakaś ogarnęła dziewczynę, gdy zbliżywszy się ku

sukiennej zasłonie podnieść ją miała, aby się dostać tam, skąd już nie chciała, nie myślała wyniść nigdy. Popatrzyła w świat biały, na dzień biały, posłuchiwała słowików gwaru i ręką drżącą podniosła zasłonę, która zaszeleściła nad jej głową.

Weszła. Tu ogarnęła ją na chwilę noc, bo oczy jej zrazu nic dojrzeć nie mogły. Na tle tylko czarnym płomień błyskał w głębi. Zapach smoły, bursztynu, spalonych ziół, przesycił powietrze ciężkie i ciepłe. Dopiero oczy oswoiwszy postrzegła kontynę²⁶, na słupach jeszcze wewnątrz opartą, ciemną, smutną i pustą. Daleko przed nią stały kamienie, które otaczały wolno płonące ognisko. Dym i iskry dobywały się z niego to wolniej, to żywiej i szły ku górze, do otworu w dachu lub wiatrem zwrócone rozchodziły się we wnętrzu budowy. Przy ogniu dwie białe postacie siedziały jakby uśpione czy drzemiące.

Zza dymu i płomieni widać było na ścianie kontyny coś niewyraźnego, podnoszącego się wysoko, aż pod strop i dach. Była to czarna okopcona postać dziwna, nieforemna, straszna, u której nóg kilka trupich białych czaszek leżało. Obok niej wisały łuki, oręż, noże, jakieś zdobyte łupy, a sam posąg obwieszony był cały niemal sznurami bursztynu i kraśnych²⁷ kulek ponizanych²⁸ na nici. U góry, w głowie potwornej, dwoje oczów, dwa świecące, ogromne kamienie czerwone, jakby krwią gorejące, pałały. Nie widać tam było nic, tylko tych oczów

²⁶ *kontyna* – świątynia słowiańska. [przypis edytorski]

²⁷ *kraśny* – tu: kolorowy. [przypis edytorski]

²⁸ *ponizany* – dziś: nanizany; nawleczony. [przypis edytorski]

płomienistych dwoje, od których skryć się nigdzie nie było można. Patrzyły na wszystkie strony, odbijał się w nich ogień u stóp pałacy, migotał w czerwonych kamieniach i czynił je jakby żywymi. Wśród ciemności te drganiem płomienia ruszające się oczy bóstwa przerażały jak spojrzenie ze światów innych, groźne i gniewu pełne.

W chramie teraz nic słyhać nie było, tylko trzask palącego się łuczywa i świergot ptastwa, które otworami dostawszy się do środka jego, niespokojnie pokrzykiwało latając, aby się stąd na powrót wydobyć.

Dziwa postawszy chwilę, bo w niej czerwonych oczów dwoje zrodziło trwogę i odjęły siłę, wolnym krokiem podeszła ku ognisku, myśląc:

– Tu więc miejsce moje.

I nie pytając już nikogo, nie patrząc, zbliżyła się aż do dwóch siedzących niewiast, co ogień podsycaly, siadła jak one, na pustym kamieniu, wzięła nagotowane łuczywo i położyła je na ognisku.

Jedna z kobiet wstrzymywać ją chciała, lecz za późno się podniosła. Ogień już był objął tę pierwszą ofiarę, na którą Dziwa patrzyła, jakby się w niej własne paliło życie. Dwie stróżki tego Znicza popatrzyły na nią ciekawe i trochę przelękłe. Przy świetle ognia mogła dojrzeć ich twarze. Zwiędłe były, smutne i blade.

Przyglądając się pięknej dziewczynie, szeptały coś pomiędzy sobą, jakby litując się nad nią. Głowami potrząsały tylko, nie śmiejąc się odezwać. Zdawały się patrzeć na nią jak na

skazaną. Dziwa siedziała spokojna, w ogień wlepiwszy oczy, odpoczywała.

U ognia zmieniały się potem stróżki, Dziwa przesiedziała sama całą noc przy nich, dorzucając po łuczywie. Sen jej nie brał, myślami jeszcze żegnała życie swe dziewicze i domową zagrodę, a czerwone oczy Nijoły przyszłość czyniły straszną.

Tak przeszedł dzień pierwszy i tak samo prawie drugi upłynął. Mogła tylko wyjść za kontynę i odetchnąć świeżym powietrzem. Ale tu skupiały się koło niej stróżki ognia i ciekawie przyglądały się jej, badały, dopytywały uśmiechając; zwracali oczy przechodzący pielgrzymi i Dziwa wołała już milczenie swe w ciemnym kątku niż te napaści próżnującej gawiedzi i te pytania bez końca.

Nazajutrz siwowłosa w wianku kobieta spotkała ją też za chramem i zagadnęła o przeszłość; i jej opowiadać się musiała, skąd przyszła i dlaczego, ale ta słuchała roztargniona i nie okazała nawet, czy ją powieść obeszła. Dziwa spodziewała się tu może jakiegoś podnieconego życia, z pieśnią i marzeniem, a znalazła milczenie i ołowiane brzemię na wszystkich tych niewiastach znużonych ciszą jednostajną, jaka ich otaczała. Bezmyślnie spełniały one posługą przy chramie i dzień schodził na półsennym jakimś osłupieniu, na zdrętwieniu i martwocie. Wieczorem zjawił się stary Wizun, po odejściu siwowłosej kobiety; oczyma prawie gniewnymi mierzył Dziwę i pytał znowu o Domana.

Dziewczę opowiedziało swą przygodę po raz drugi.

– Domana mi żal – zawołał. – Nosilem go dzieckiem na rękę, chłopak był odważny, dobry, gościnny... i przyszło mu zginąć nie na wojnie, nie na łowach, ale z rąk niewiasty... ze sromem²⁹!

...

– A jakżem ja bronić się miała, będąc w jego mocy? – odezwała się Dziwa. – Wolno się bronić dzikiemu zwierzęciu i robakowi nawet, a nie godziłoby się dziewczynie?

Starzec się namarszczył tylko i spojrzał dziko na nią.

– Doman rannym być może, ale zabitym... nie! nie! to być nie powinno i nie będzie... – dodał.

Chciał, aby mu opowiedziała, jak mu cios zadała, ale Dziwa sama już teraz nie wiedziała, jak się to stało, ani by umiała wytłumaczyć, skąd na to wzięła odwagę i siłę, zmilczała więc.

Następnych dni jakby za karę najcięższą pracę na nią włożono. Musiała drzewo nosić i wodę, zamiatać i myć chram, biegać do źródła, służyć wszystkim. Odprawiono ją wreszcie do tego, od czego w domu była wolną – do gotowania strawy dla innych. Nie zbywało na ostrych słowach i na śmiechu bolącym, i na jakiejś wzgardzie, którą jej starsze okazywały. Wszystko to przetrwała milcząca, spokojna, z taką dumą, iż niechęć się rozbiła o nią i dziewczęta z poszanowaniem patrzeć zaczęły na tę, która ani skarżyć się nie chciała, ani płakać, ani okazać, że ją boli poniewieranie.

Dano pokój wreszcie, widząc, że znęcanie się nie czyni skutku.

²⁹ *srom* (daw.) – wstyd; tu: hańba. [przypis edytorski]

Każdego niemal dnia nadciągały łódkami nowe gromady po wróżby, składając ofiary przed Niją. Dziwa siedziała już u ognia po kolei i bez kolei, a była tu jak doma. Milcząca mogła marzyć, patrzeć w dym, który w jej oczach różne dziwne przybierał kształty i nie troszczyć się o życie. Dwa razy na dzień z ofiarnych dań i gotowanej strawy zastawiano obiadę dla stróżek i było dostatkiem wszystkiego. Suchych korowajów ostatkami karmiły się niezliczone ptastwa stada, a żarłoczne wróble tysiącami kręciły się przy chramie.

Dziesięć już dni upływało od tego pamiętnego dnia, gdy Dziwa u ognia zasiadła i pierwszą go drzazgą podsyciła. Była przybywszy ostatnią, teraz słuchały jej inne... Panować tu nie pragnęła, przyszło to samo, gdy uczuły wszystkie dziewczęta w niej tę jakąś wyższość, która się narzuca sama i oprzeć się jej nie można. Leniwe i śpiące stróżki ognia same zdały na nią pieczę, staranie, pracę i rozkazywanie. Siedząc z dala patrzyły na nią i strach je jakiś ogarniał, tak miała pańską postać i do rozkazywania była stworzona.

Dziesiątego dnia siedziała u ognia, gdy szmer powstał dokoła chramu i po całej wyspie. Ludzie dokoła biegali, ruch się stał wielki, nagle podniesiono zasłony ze wszech stron i między słupami najbliżej ognia stojącymi ukazał się Wizun w świątecznym ubraniu i kołpaku, a z nim mężczyzna rostry, czerwony, gruby, w czapce z piórem, w płaszczu czerwono naszywanym na ramionach, ze złotymi szlakami, blaszkami świecącymi okrytymi. Świecący miecz wisiał u jego boku.

Dziwa, spojrzawszy nań, uczuła w sobie przestrach i trwogę.

Ten czerwonolicy, z dziko patrzącymi oczyma człowiek, podobny do zwierza, który wyszedł z puszczy, z usty skrzywionymi szydersko, obudzał w niej wstręt i odrazę niewysłowioną. Byłaby uciekła, gdyby mogła.

Staął on, nie zdejmując kołpaka, ani się pokłoniwszy, naprzeciw ognia i bałwana Nijoły, patrząc nie na świętości, ale na pilnujące Znicza dziewczęta. Długo je oczyma przechodził, zatrzymał wzrok na Wiszowej córce i już go od niej nie zwrócił. Poszeptał coś staremu, który głową potrząśł. Chwilę się wzdragał. Mężczyzna stał uparcie, dwa razy po ramieniu uderzył starego i pchnął go wewnątrz chramu nakazująco.

Stary wahając się zbliżył powolnym krokiem ku Dziwie, pochylił ku niej i rzekł cicho:

– Kneź to jest miłościwy... chce, żebyś mu wróżyła.

– Wróżyć nie umiem – odpowiedziało dziewczę. – Wróżby nakazać nie można, ona przychodzi zesłana od duchów... ja wróżyć nie umiem...

W tej chwili z drugiej strony zbliżyła się siwowłosa Nania i odciągnęła na stronę dziewczynę.

– Wróż mu – rzekła. – Ja cię zielem upoję... wróż mu... wróż mu wszystko złe, bo człowiek niedobry... Wyniesiem kadzidło, dym cię upoi... mów... mów mu śmiało, co myśl przyniesie... on się nie waży uczynić ci nic złego...

To mówiąc stara dobywała suche ziele i garnek z węglem nabranym z ogniska postawić kazała na ziemi. Rzucono ziele na

nie i dym gęsty, przykry, gryzący otoczył pochyloną dziewczyną. Trzymano ją nad nim długo. Czuła, jak się jej zmaciły myśli, jak z kłębow dymu rosły jej w oczach dziwne jakieś kształty, jak traciła przytomność i zdawało się jej, że na świat inny przeniesioną została. Na głowie ciążyło brzemie jakieś straszne... krwawe smugi na czarnym tle, jasne błyskawice, kłęby dymu, smoki i gady, i ludzie potworni, karły i olbrzymy, wszystko to razem wirowało jakby przed drugimi oczyma upojonej. Dwie stróżki ją podtrzymywały, inaczej paść by była musiała omdlona. Lecz słabość ciała razem szła z olbrzymią myśli potęgą. Czuła się śmiałą i gardzącą niebezpieczeństwem, panią i królową...

W tym upojeniu powoli wiedziono ją przed knezia, który cofnąwszy się poza słupy kontyny stał pod częstokołem, oparty oń, z szyderską twarzą.

Dziwa wpatrzyła się w to oblicze dzikie, wykrzywione, straszne, z taką siłą wzroku, że kneź spuścił, mrużąc, oczy przed nią i zadrżał.

– Będiesz mi wróżyła – mruknął cicho.

– Będę wróżyła – poczęła Dziwa, która czuła, że jakaś siła zmusza ją do mówienia. – Będę ci wróżyła...

Dwoje dziewcząt postawiło przed nią wiadro wody świętej, spuściła oczy na nią. W wodzie odwrócona odbijała się twarz szkaradna Chwostka, a obok niej w dymach, którymi ją ciągle okadzano, krążyły najdziwniejsze postacie.

Kneź patrzył – zrazu szyderski, teraz bledniejąc i jakby

przelekły, ręką się opierał o częstokół, a widać było, jak drżał.

Obok niego stojący Wizun oczyma nakazującymi, których nie spuszczał z dziewczyny, zdawał się jej dyktować, co mówić miała.

Chwila milczenia poprzedziła urywanymi słowami wyjąkaną wróżbę.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.